

JANUSZ MAJEWSKI

MAŁA MATURA

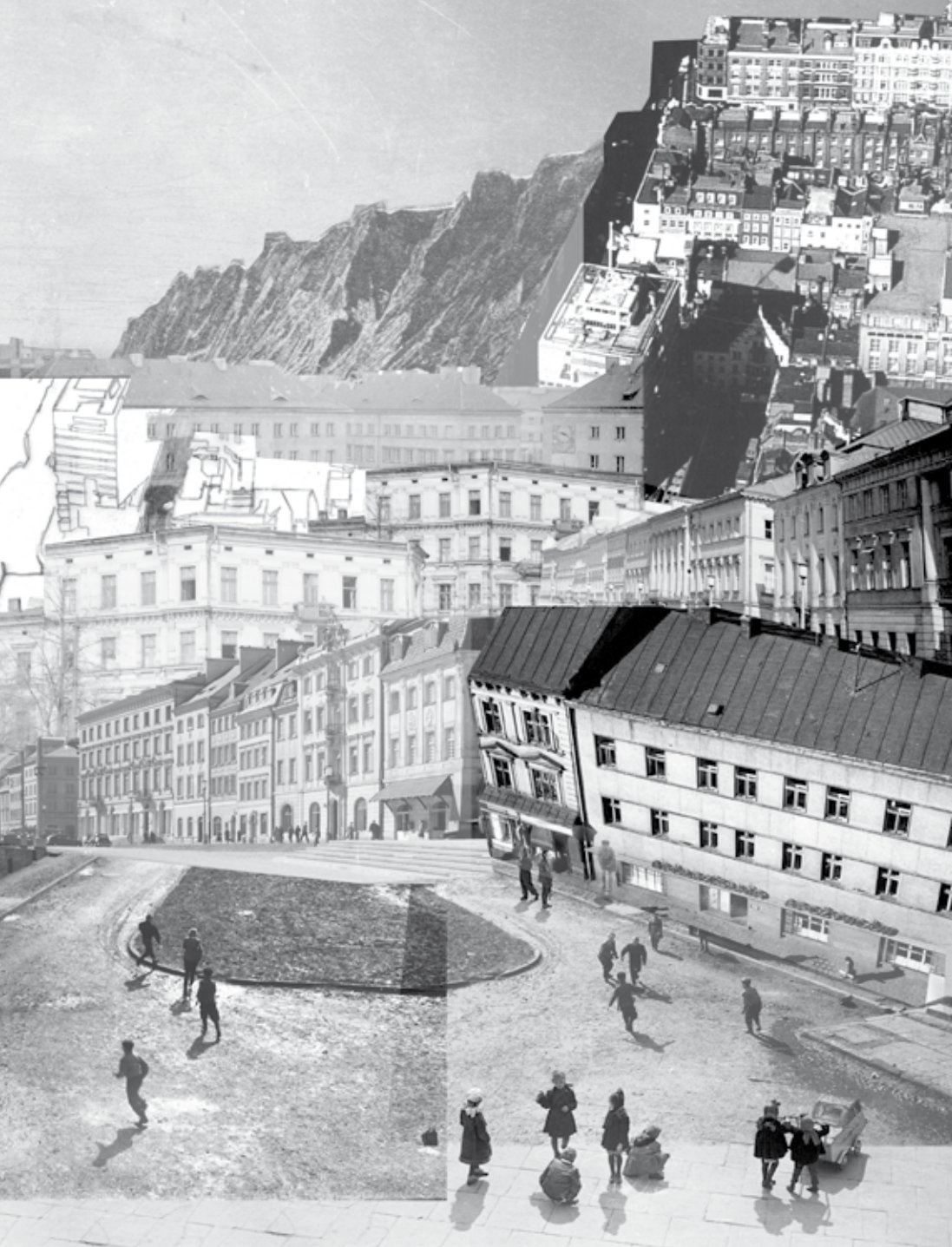


P r o l o g

Kiedy Ludwik przeszedł już na emeryturę, zakończył wszystkie konsultacje i udziały w konsyliach, zamknął praktykę prywatną i nareszcie wyjechał z miasta, zamieszkał w starym domu pod wysokimi sosnami, które sadzili przed czterdziestu laty. Piaszczysta skarpa opadała do plaży zjadanej z roku na rok przez fale, ale wciąż jeszcze szerokiej i złocistej. Gdy budził się z popołudniowych drzemek i leżał wpatrzony w sufit, na którym migotały srebrne drzazgi światła odbitego od wody, rozpamiętywał sen powracający do niego uporczywie co noc. Śnił, że stoi boso, po kostki w wodzie i wpatruje się w drugi, daleki brzeg, nad którym piętrzy się miasto. Chciałby tam przejść, lecz nie może, boi się, że nie przepłynie, że utonie na środku wielkiej, gładkiej jak lustro tafli, a jednak jakoś tam

dociera i chodzi ulicami, w poszukiwaniu domu, z którego przed laty wyszedł. Nie jest pewien, czy to właściwe miasto, ulice przypominają mu wszystkie miasta, w których mieszkał lub był w ciągu swojego długiego życia: Lwów, Kraków, Pragę, Wiedeń, Barcelonę, a czasem Nowy Jork lub Warszawę. I zawsze jest tak samo: zatrzymuje się ujęty znajomą perspektywą ulicy, wie, że musi dojść do rogu i skręcić w przecznicę. Tam jest ta brama, której szuka, już stoi przy niej i mrużąc oczy, nerwowo poszukując po kieszeniach okularów, wpatruje się w kolumnę mosiężnych tabliczek, by znaleźć dzwonek do mieszkania rodziców. To było na drugim piętrze, a może na trzecim, pod nimi mieszkali Wróblewscy, a nad nimi państwo Ferens? Ale kto to jest Brehmer, dr Hugo Brehmer? A Lajos Kodanyi? A Fernando Perez? Oni tu nie mieszkali, chyba że potem. Czy ojciec zmarł, a matka wyszła powtórnie za mąż, za doktora Brehmera? A może za Fernanda Pereza? Ależ to nie ten dom! Przecież tam, za rogiem jest nasza ulica, tak, taka stroma. Jak ciężko wejść nią pod górę, trzeba przysiąść na tym murku i godzinami wpatrywać się w wodę, w chyboczące odbicie wielkiej góry domów, z których jeden był naszym domem. Tylko który?





Część I



SŁODKIE LATA



Niebo nad Wysokim Zamkiem pociemniało i przybrało barwę fioletu. Zrobiło się jeszcze bardziej duszno. Gdzieś od strony Winnik z ociąganiem nadchodziła burza, dalekie pomruki budziły nadzieję, że elektryczne wyładowania oczyszczą powietrze, spadnie rześisty deszcz i miasto odetchnie po tygodniach upałów. Tadeusz odkręcił kurek nad zlewem i pozwolił wodzie płynąć słabnącym strumieniem, w nadziei, że to ją ochłodzi. Potem otworzył na oścież okno, żeby wywołać przeciąg przez otwarte na przestrzał drzwi do jadalni, gdzie wuj Kazimierz spocony stał na balkonie i wachlował się gazetą „Wiek Nowy”. Wypełnił karafkę letnią wodą i zaniósł ją do jadalni. Nalewając wujowi, spojrział na niego pytająco, ale wuj nie odpowiedział nawet gestem, tylko podniósł szklankę do ust. Parę kropel wody spadło na jego szpakowatą, wypielęgnowaną brodę à la Napoleon III, a ostry promień nisko już stojącego słońca zapalił w nich oślepiające iskry. Tadeusz postawił karafkę na stoliku i podszedł na palcach do drzwi sypialni.

Przyłożył do nich ucho, by ułować choćby słówko, ale usłyszał tylko ciężkie oddechy i ciche jęki Marii. Zdziwił się, że i ciotka Mania, i położna milczą, a wręcz nie wydają ani szmeru, jakby uciekły chyłkiem z sypialni kuchennymi schodami. Odrzucił tę absurdalną myśl i wrócił na balkon. Nagle zawiął wiatr, okno w kuchni zatrasnęło się z hukiem, posypała się stłuczona szyba i strzelił piorun, tak głośno i tak blisko, jakby mierzył w wuja Kazimierza, ten jednak ani drgnął, odwrócił się i spokojnie wszedł do pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi balkonowe. Tadeusz pobiegł do kuchni zamknąć okno, szkło zachrzęściło mu pod stopami. Wziął szczotkę, aby je znieść, bo zobaczył nagle z ogromną wyrazistością siebie jedenaście lat temu, jak odwija onuce z utrudzonych nóg, kroczy po brudnej podłodze ukraińskiej chaty i nawet nie czuje, jak ułamek szkła z rozbitej butelki wbija mu się w stopę. Na łóżku, pod kopiatą pierzyną, leżał trup brodatego starca i patrzył na niego szklanym wzrokiem. Na podwórzu rozkulbaczano konie, rotmistrz rugał ordynansa, skrzypiało koło studni.

Wrócił do jadalni: wuj Kazimierz stał na środku z palcem wyciągniętym w górę niczym piorunochron.

– Jak uderzy następny, będzie po wszystkim – oznajmił głosem proroka.

Tadeusz nawet nie zdążył zapytać, co wuj ma na myśli, bo piorun rzeczywiście strzelił z ogłuszającym hukiem, a chwilę po nim, w idealnie wytaktowanym rytmie, rozległ się za drzwiami sypialni dźwięk wymierzonego klapsa i pierwszy płacz nowo narodzonego.

– Jak Zeus! – powiedział z zachwytem wuj Kazimierz.

Tadeusz podbiegł do drzwi. Te uchyliły się właśnie i wyrzła z nich ciotka Mania.

– Chłopiec! – powiedziała z dumą, jakby to była jej zasługa, i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Tadeusz wyrzucił ręce w górę.

– Mam syna! – krzyknął z entuzjazmem w stronę wuja.

Starszy pan opuścił uniesiony palec i stwierdził spokojnie:

– Mam wnuka. Ciotecznego, ale zawsze...

Padli sobie w ramiona.

2.

Tadeusz urodził się w 1903 roku w Galicji, w miejscowości leżącej niemal dokładnie w połowie drogi z Krakowa do Lwowa. Miasteczko było małe, zapyziałe, w większości zamieszkałe przez biedotę żydowską, ale szczyliło się rokokowym pałacem, prawdziwą rezydencją magnacką. W niej właśnie Tadeusz przyszedł na świat, tyle że w oficynie, bo jego ojciec Franciszek nie był magnatem, lecz skromnym, choć zaufanym muratorem, budowniczym nadwornym. W tamtych czasach oznaczało to, że musiał umieć zarówno zaprojektować stylowy pałacyk myśliwski w książących lasach, jak i osobiście naprawić zaciekający dach. Ta druga umiejętność okazała się zresztą fatalna: Franciszek spadł z naprawianego przez siebie dachu kościoła parafialnego, ufundowanego przez pradziadów magnata dobre czterysta lat wcześniej, a zatem jeszcze w dobie schyłkowego gotyku, przez

co dach był stromy i niebezpieczny. Niewykluczone, że ojciec spadł z powodu poirytowania, w które wprawiła go sprzeczka z żoną, Marią, utrzymującą, że dach jest zbyt „szpiczasty”, aby na niego wchodzić, co jemu wydawało się wyrażeniem wysoce niestosownym, niefachowym, wręcz bluźnierczym wobec powagi świątyni.

– A nazywanie dachówki „mnich-mniszka” nie jest bluźniercze?! Tolerowanie na dachach kościołów odwiecznych bezceństw osób duchownych nie jest nieprzyzwoite?! – krzyknęła Maria, opierając dłonie na okazałym brzuchu, w którym pływał już przyszły Tadeusz.

Franciszek zaniemówił z oburzenia, wyszedł, trzaskając drzwiami, i nie upłynął kwadrans, jak leżał rozkrzyżowany na progu kruchty, z pogodnym uśmiechem, który zamarł mu na ustach na wieki. „Z tym ufny uśmiechem poszedł na spotkanie Pana!” – powiedział proboszcz nad otwartą mogiłą, wywołując jednakże wybuch płaczu u zgromadzonych żałobników.

Upadek męża z gotyckiego dachu okazał się dla Marii tragiczny: została wdową z trojgiem dzieci i czwartym w drodze, zdaną na magnacką łaskę. Pstry koń, na którym owa łaska zwykła jeździć, stał na razie w stajni, ale czasem dało się już słyszeć jego zniecierpliwione grzebania kopytem i niechętne parskania, gdzie „r” było wyraźnie grasejujące, magnacka rodzina bowiem wciąż hołdowała staromodnym obyczajom, że przy służbie mówi się po francusku. Wprawdzie Marii jeszcze do służby nie zaliczano, ale stało się jasne, że wraz z upadkiem męża ona też spadła o parę szczebli na dworskiej drabinie: z solidnej pozycji żony

bądź co bądź szanowanego muratora zsunęła się na chwiejny szczebel tolerowanej rezydentki, niższy nawet niż pozycja należna ubogim krewnym. Używano jej do czytania dzieciom bajek, cerowania ich pończoszek, straszenia Cyganem, który porwie, jeśli nie zje się kaszki. Na dworze nazywano ją boną, ale ona wcale nie uważała się za dobrą, w duchu wyrzucała sobie, że nie czuje wdzięczności dla swych dobroczyńców, tylko żał za to, że wysłali Franciszka na szpiczasty dach, i stale się z tego spowiadała w tym późnogotyckim kościele, mimo że pocziwy kanonik za każdym razem dawał jej rozgrzeszenie i wyznaczał taką samą, łagodną pokutę, której nie sposób było nie bagatelizować.

Jak z tego widać, Tadeusz był pogrobowcem. Ta nazwa przerażała go zawsze, odbierał ją jak obelgę, jak jakieś pogardliwe pomówienie, kontekst grobu w narodzinach wydawał mu się złowrogi, a nawet nieprzyzwoity i z bólem odsuwał z wyobraźni scenę poczęcia go w jakichś katakumbach przez chutliwych rodziców, jak to mu kiedyś wmówił pewien perwersyjny lokaj, z pochodzenia Alzatezyk. Kiedy cierpiąc masochistycznie, pozwalał czasem swojemu fantazjowaniu tworzyć obraz tej sceny, budował go zawsze z takich strzępków, jak chrzest żwiru alejki pod drobnymi stopami matki, ciągniętej w ciemny kąt przez niecierpliwego ojca, szelest jej pośpiesznie zadzieranej sukni z brązowego jedwabiu, zapach butwiejących liści i echo miłosnych spazmów pod sklepieniem cmentarnej kaplicy. Cień tej ponurej budowli padał na całe dzieciństwo Tadeusza i w naturalny sposób odsuwał go od sfery kościelno-cmentarnych obrządków; bał się ich i nie lubił, podczas gdy matce marzyła się dla niego

komża i stuła. Widziała go w przyszłości proboszczem kościoła, z którego dachu spadł jego ojciec. Zaiste kłęb sprzecznych presji i dążeń! Pomysły matki na przyszłość syna brały się też jednak z jego kompleksji. Drobny i słabowity, o ciemnej, jakby śródziemnomorskiej cerze i czarnych oczach, był zupełnie niepodobny do swoich starszych braci Karola i Franciszka, jasnych, rosnących i krzepkich, zuchwałych i zadziornych w obejściu, ujawniających rycerskie geny zapomnianych szlacheckich przodków, obrońców dawnych rubieży, bo z Podola wywodził się po dalekiej kądzieli ród ich matki, Marii. Może najbardziej był podobny do także starszej siostry, równie ciemnej, wręcz egzotycznej Jadwigi, a oboje z kolei wyglądali na ciemne kopie, wręcz negatywy, swojego ojca: te same rysy, ale w porównaniu z nimi on wydawał się niemal albinosem – włosy, oczy, skóra jasne, jakby wyblakłe na słońcu, i ten koloryt odziedziczyli po nim najstarsi synowie. Niezrozumiałym dziwactwem natury było natomiast to, że przy swojej ciemnej karnacji Tadeusz miał jasne, wręcz złote włoski, kręcące się jak loczki aniołka, które jednak potem, w wieku pokwitania całkowicie ściemniały, aż złoty anioleczek stał się brunecikiem. Wyglądało to tak, jakby pigmenty ojca toczyły przez całe dzieciństwo Tadeusza walkę o ten jasny przyczółek, by ulec w późniejszym chłopięctwie, skapitulować przed przewagą czerni. Na szczęście nie kryła się w tym żadna symbolika: o duszę chłopca nie mocowały się żadne siły światła i ciemności, a jeżeli nawet, to w jakiś niemrawy, niewidoczny sposób. Także w marzeniach matki nie było żadnej stałości ani wytrwałości, ot, plotło się raz tak, raz inaczej.

Tymczasem jednak jakiś demiurg skierował na chłopca snop światła swojej latarki, pragnąc, nie wiadomo po co, aż trzykrotnie wyróżnić go z tłumu szarych postaci kłębiących się na globie. Pierwszy raz scena wyglądała tak: był rok może 1911, może 1912, bo Tadeusz zdążył pójść do szkoły, a najpóźniej 1913, bo w 1914 już wybuchła wojna. Jego Wysokość Cesarz Franciszek Józef wizytował inną, pobliską rezydencję innego starożytnego rodu, tyleż zasłużonego w historii Polski, co ostatnio oddanego habsburskiemu dworowi, i przy okazji odwiedził także magnacki pałac dziedziców skoligaconych z owym zasłużonym rodem. Możliwe, że powodem tego zaszczytu było polowanie, bo magnackie lasy obfitowały w zwierzynę, natomiast odwiedziny miejscowej szkoły mogły już być zarówno przelotnym kaprysem cesarza, jak też zaplanowanym i przemyślanym politycznie punktem wizyty. Monarcha otoczony świtą wszedł do klasy, którą zdążono pośpiesznie uprzątnąć i przystroić jedliną. Dzieci wstały, jak zwykle gdy ktoś obcy, ale ważny, a zwłaszcza umundurowany wchodził z wizytacją. Cesarz miał na sobie niebieską kurtkę mundurową ozdobioną licznymi orderami oraz czarne spodnie z czerwonymi lampasami. Z lekko zaczerwienionym nosem i słynnymi białymi bokobrodami wyglądał dokładnie tak, jak na portrecie wiszącym nad tablicą zabazgraną działaniami arytmetycznymi. Nauczyciel, na wpół sparalizowany z emocji, dał znak i dzieci odśpiewały hymn *Gott erhalte, Gott beschütze*. Tadeusz był najmniejszy w klasie, więc siedział, a teraz stał w pierwszej ławce, najbliższej Cesarza. Nie śmiał patrzeć Mu w dobrotliwą twarz, wpatrywał się w Jego czerwony,

bogato szamerowany złotem mankiet, ale śpiewał pięknie, wysokim, czystym dyszkantem, z którego zdążył zasłynąć w szkole i który zachwiał marzeniami Marii o kościelnej karierze syna (widziała go teraz raczej na deskach opery we Lwowie, a może nawet we Wiedniu). Cesarz słuchał z przyjemnością, chociaż nie jest wykluczone, że słyszał już słabo, miał wówczas przecież ponad osiemdziesiąt lat. Kiedy skończyli pierwszą zwrotkę, dał ręką znak, żeby przerwać, i pogłaskał Tadeusza po złotych loczkach. Potem pochylił się nagle, dał mu kuksańca i spytał znienacka żartobliwie poufnym tonem:

– *Zwei mal zwei?*

– *Vier* – odpowiedział bez namysłu złotowłosy aniołek.

– *Mutig Junge!*¹ – Cesarz uśmiechnął się dobrotliwie i poklepał go po policzku.

Świta wyszła z klasy z brzękiem szabel i ostróg. Omijając i przeskakując z gracją kałuże, wsiadła do powozów czekających pod szkołą. Sam Monarcha odjechał warczącym głośno, ogromnym automobilem, tym samym może, w którym później zastrzelono Ferdynanda w Sarajewie i o którym potem długo mówiono w miasteczku. Dłużej nawet niż o samym Cesarzu. Były to niewątpliwe już pierwsze objawy manii, która niedługo miała zawałdnąć umysłami mężczyzn na całym globie.

¹ – Dwa razy dwa?

– Cztery.

– Zuch chłopak.

Druga odsłona miała miejsce piękną, wcześniej niż zwykle rozkwitłą wiosną roku 1915. Wojna, ochrzczona potem mianem wielkiej, a dziś nazywana pierwszą światową, trwała od ponad pół roku. Rosjanie już we wrześniu zajęli Lwów i posunęli się szybko w stronę Krakowa, tuż pod nim zostali jednak przez Austriaków zatrzymani. Po obu stronach frontu wojsko zaległo w okopach, nocami toczono austriacko-rosyjskie pogawarki nad zasiekami, przeważnie po polsku, bo Polacy nosili zarówno rosyjskie, jak i austriackie mundury, jednakowo wierząc, że wywalczą Polsce niepodległość. Na bezpiecznym zapleczu frontu rosyjski sztab zajął magnacki pałac, narażając księcia i jego małżonkę na horrendalne niewygodności: musieli znów sypiać w jednym łóżu, którego nie dzielili już od kilkunastu lat. Sypialnię księcia pana przygotowano dla Jego Wysokości Cara Rosji, Mikołaja II Romanowa, który zapowiedział wizytację frontu i rzeczywiście przyjechał. Po wykwintnym drugim śniadaniu Najwyższy Zwierzchnik Sił Zbrojnych Rosji udał się na przechadzkę po pięknym, angielskim parku. Jego adiutant postępował czujnie parę kroków za monarchą i z pewnością nie miał na sobie czarnych okularów ani antenki w uchu, jak jego dzisiejsi odpowiednicy. Stanowił raczej część komfortu swego pana niż jego ochronę. Ta, uzbrojona w karabiny z długimi jak piki bagnetami na sztorc, otaczała gęstym szpalerem całą posiadłość, ukryta za kępami świeżej zieleni, całkowicie niewidoczna dla imperatorskich oczu, niesłyszalna dla uszu, może jedynie wyczuwalna dla nozdrzy, kiedy majowy wietrzyk przynosił czasem zapach machorki i juchtowych gwardyjskich butów.

Mikołaj II trochę się znużył konwersacją przy stole gospodarza, która toczyła się wyjątkowo nie po francusku, a po angielsku, tak jak ją zaczął, nie wiadomo dlaczego, dostojny gość. Gospodarze skwapliwie się dostosowali. Książę pan, zaprzysiężony miłośnik francuskiej kuchni, win i rojalizmu, natychmiast przedzierzgnął się w anglomana i dzielił się swymi wrażeniami z wyścigów konnych Royal Ascot, gdzie miał okazję być w 1907 roku, opisywał obowiązkowy strój dżentelmena, który obstalował był sobie wtedy u najlepszego krawca na Saville Row w Londynie, oraz karego ogiera półkrwi angielskiej imieniem Black Arrow, którego wtedy nabył i z trudem przewiózł do swych stajni, a który zawiódł jego oczekiwania jako reproduktor i teraz, wywałaszony, chodzi w linijce. Monarcha słuchał łaskawie, ale z pewnym rozrządzeniem; myśl jego pobiegła do kuzyna Jerzego V, króla Wielkiej Brytanii, tak zdumiewająco podobnego, że mogliby uchodzić za bliźniaków. Nie mógł naturalnie przypuszczać, że już niedługo królewski kuzyn go zawiedzie, wręcz zdradzi, odmawiając mu azylu i – jak później się okaże – ratunku przed bolszewickimi siepaczami. Teraz, w tym angielskim parku, wciąż jeszcze po angielsku, błędził myślami po genealogii wspólnych z Jerzym przodków z Hesji, Wirtembergii i Nassau. Przysiadł na ławce i gestem poprosił o papierosa. Adiutant doskoczył sprężyście, otwierając złotą papierośnicę, a potem podał carowi ogień.

– *Thank you, my boy!* – rzucił machinalnie car, chociaż chłopiec przekroczył już pięćdziesiątkę.

– *You welcome, my Lord!* – odrzekł adiutant w randze generała kawalerii.

Może dlatego, gdy Tadeusz nagle wyszedł zza wielkiego kłonu z książką w ręku, car odezwał się do niego też po angielsku:

– *What are you doing here?!* – W tonie zapytania zabrzmiała nuta niemiłego zaskoczenia, że teren nie jest jednak dobrze strzeżony.

Tadeusz milczał przestraszony zarówno postaciami w galowych mundurach, jak i nieznanym językiem.

– *On niczego nie ponimajet* – zauważył adiutant.

– *A po russki ponimajesz?* – zapytał car.

– *Niemnożko ponimaju* – odparł ośmielony Tadeusz, bo przez pół roku okupowania pałacu przez Rosjan już się był trochę osłuchał języka Puszkina, Tołstoja i zauralskich katorżników.

– *Wot, umnyj parień!* – uśmiechnął się łaskawie Romanow i poklepał Tadeusza po policzku.

I wreszcie nastąpił akt trzeci tej dziwnej, niezrozumiałej sztuki napisanej przez Przeznaczenie, a wyreżyserowanej przez Los: pod koniec 1918 roku, w przeddzień zakończenia wojny i parę dni po piętnastych urodzinach Tadeusza umarła jego matka, Maria. Starsi bracia walczyli gdzieś na jakichś frontach, Tadeuszem musiała zaopiekować się starsza o dwa lata siostra Jadwiga, zwana Wisią. Dzieci pozostawały na utrzymaniu dworu, ale tu w czwartym roku wojny też się już nie przelewało. Wisia miała trudny charakter, była apodyktyczna i niecierpliwa, „w gorącej wodzie kąpana” – mówiły o niej przyjaciółki, „przyzwyczajają się do temperatury piekła” – dodawali jej starsi bracia,

aby jej dokuczyć, chociaż naprawdę przepadali za nią. Przy tym wszystkim była bardzo pobożna, należała do kółka różańcowego i śpiewała w chórze parafialnym. Tadeusz też z nimi śpiewał, ale nie czynił tego z pobożności, po prostu kochał muzykę. Mimo że z natury zgodliwy i ustępliwy, wciąż musiał się zmagać z dyktaturą domową siostry, aż po jakiejś, w gruncie rzeczy błahej sprzeczce czara goryczy się przelała. Pewnej ciemnej nocy Tadeusz, gorliwy czytelnik Coopera, Curwooda czy Londona, autorów, których książki z każdego, nawet najbardziej cherlawego chłopca robiły śmiałego poszukiwacza przygód, zaszył się w sianie na jakimś wojskowym eszelonie i został razem z nim wywieziony na front wschodni. Był kwiecień 1920 roku i szwadron ułanów, którego stał się maskotką, brał właśnie udział w wyprawie kijowskiej. Po drodze rozegrały się jakieś epizody wojenne, asystował, bo chyba jeszcze nie walczył, w potyczkach z czerwonymi, czynił obserwacje podobne do tych, które po drugiej stronie frontu zapisywał Babel, po raz pierwszy zobaczył prawdziwą krew, prawdziwą śmierć, aż wreszcie nadszedł ten dzień, 8 maja 1920 roku na kijowskim Chreszczatyku. Tadeusz stał wyprężony na końcu szeregu, miał już na sobie legionowy mundur („siwy strzelca strój”), trochę przerobiony przez pułkowego krawca spadek po poległym koledze, ale wciąż za duży, bo nasz legionista nadal był drobny, chudy i wymizerowany. Przed znieruchomiałymi szeregami przechodził wolno, otoczony świętą, On. Komendant, Bohater, Legenda. Spod słynnych krzaczastych brwi uważnie i bystro przyglądał się twarzom swoich żołnierzy, którzy skoczyliby za nim w ogień. Doszedł do końca szeregu,

aż zatrzymał się przed Tadeuszem. Popatrzył na niego i zadał najmniej pożądane pytanie:

– A ty ile masz lat, chłopczyku?

Tadeusz miał skończyć siedemnaście lat dopiero w październiku, ale wciąż wyglądał na piętnaście, mimo to, starając się, aby głos jego brzmiał dorośle, oznajmił:

– Niedługo skończę osiemnaście.

Komendant Piłsudski uśmiechnął się pod sumiastym wąsem, uszczypnął go pieszczotliwie w policzek i powiedział, ni to z naganą, ni to z pochwałą:

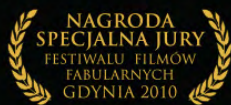
– No, no... – A potem dodał cicho: – Uważaj na siebie, chłopcze. Musisz wrócić cały do domu!

Odegrano akt trzeci, kurtyna zapadła. Ale cóż właściwie Los (Bogowie? Opatrzność?) chciał nam powiedzieć, aranżując taką serię wydarzeń? Trzej giganci tego świata dotykają policzka niepozornego chłopca z zapadłej prowincji, jakby go namaszczeni jakimś specjalnym balsamem, błogosławili przed drogą, w którą ma wyruszyć. Dlaczego właśnie jego? Po co? Co z tego wynika? Czy kryje się w tym jakaś ważna prawda? Jakaś nauka czy przestroga, jakieś przesłanie, które powinniśmy zrozumieć? A może to jedynie dowód, że losem ludzkim rządzi przypadek, z którego przeważnie nic nie wynika. Bogowie grają w kości, w każdym rzucie inna kombinacja cyfr, aż padają same szóstki. I co? I nic. Wciąż grają. Ponowny rzut i kostki rozsypują się w innej konfiguracji. Świat nie zatrzymuje się w pół obrotu; uporczywie wirując wokół osi swoich doczesnych spraw, nieustannie pędzi dalej w nieskończoną czeluść wieczności.

Tadeusz i jego bracia wrócili z wojny do domu, ale on się już rozpadł, przestał istnieć. Rodzeństwo spotkało się jeszcze na moment, a potem każdy poszedł własną sierocą drogą.

Pelna humoru i ciepła, barwna opowieść o dorastaniu w beztróskim europejskim Lwowie jest preludium do tragicznych wydarzeń wojennych. Dwaj okupanci, Sowieci i potem Niemcy, okradają kilkuletniego Ludwika z dzieciństwa, a jego rodzinę z dobytku i bliskich, zmuszają do ucieczki i tułaczki, której kres stanowi Kraków końca wojny. Wtedy czternastoletni bohater rozpoczyna walkę. W nowym gimnazjum toczy boje o akceptację rówieśników i nauczycieli, zmagają się z pierwszym miłosnym zauroczeniem i seksualnością. Zawieszony między podziwem dla bohaterstwa starszych kolegów a odrazą do nowej kłamliwej władzy ludowej musi sam odnaleźć własną drogę: zdać egzamin dojrzałości z życia, zanim przystąpi do tytułowej małej matury, egzaminu kończącego gimnazjum.

Tak obrazowo i wiarygodnie opowiedziana historia mogła wyjść tylko spod pióra Janusza Majewskiego – znakomitego scenarzysty i reżysera. To powieść niezwykła; bez względu na wiek czytelnika uwodzi i wciąga, zachwyca opisem zapomnianych miejsc, ludzi, przedmiotów i języków wielokulturowego Lwowa oraz wiernością odwzorowania najdrobniejszych detali.



dla filmu *Mała matura 1947*
w reżyserii Janusza Majewskiego

wydawnictwo



marginesy

cena 49,90 zł



9 788392 843115

www.marginesy.com.pl